

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

Wierzyć się nie chce, aby w tych lepiankach, wiejących zgnilizną i wilgocią, mieścić się mogli ludzie. Zda się, że nie dobiegł tu nigdy najniklejszy promyk cywilizacji i że kął ten na zawsze został oddany na łaskę losu i przy-padku.

Progi tych nor bez drzwi wysokie są i nierówne, u okien wiszą szmaty niewiadomego koloru, a poprzez dachy podziurawione widać skrawki błękitnego nieba.

Deszcz, wiatr i zimno zagląda tutaj przez wszystkie szczeliny. Okropny zaduch i wilgoć spływająca kroplami wieje od tych ścian czarnych i ślizgich, zamiast podłogi, kupy prze-różnego śmiecia i grzęskiego błota.

W lecie zaś słońce pożera gorącymi promieniami te lepianki nie mające żadnej ochrony i w rozprężonym, dusznym powietrzu tysiące much i owadów brzęczy, roznosząc szkodliwe zarazki z miejsc zanieczyszczonych zgnilizną i brudem.

Nic nie jest w stanie oddać dokładnego pojęcia o pospółstwie fermentującym tutaj dniem i nocą.

Kobiety ponure i wychudłe, z oczyma błyszczącymi gorączką, czołom pomarszczonym niezliczonymi zmarszczkami, obnoszące na kości-słych ciałach jakieś strzępy i łachmany nieokreślonej barwy, dzieci wybladłe i nikłe, bez wesołości i młodości, noszące już na drobnych twarzach straszne piętno fatalnego dziedzictwa. Mężczyźni o odstrasającym wyglądzie, z zuchwałem, dzikiem spojrzeniem, wysuwający się chyłkiem o zmierzchu, nie wiadomo za jakim zajęciem czy zbrodnią.

Nikt z miasta nie odważyłby się nigdy zaawanturować się lekkomyślnie w to środowisko rozpusty i nędzy, a jednak tej nocy człowiek jeden miał odwagę skierować się w tamtą stronę.

Było to prawie jeszcze dziecko. Ubrany był w bluzę szarą, płócienną, szerokie spodnie i grube trzewiki. Włosy zakrywała wypłowiała, aksamiłna czapka z daszkiem.

Było już około północy.

Księżyc, zasłonięty ciężkimi chmurami, rzucał niepewne, nikłe światło, wiatr zimny świszcząc pomiędzy domami i na wylotach ulic.

Wyrostek oryentował się jak mógł pomiędzy krętymi, wyboistymi uliczkami dzielnicy. Niekiedy noga poślizgnęła się mu nagle w grzęskim błocie, po którym brodził z trudnością. Niekiedy przystawał niespokojny, zmieszany, spoglądając wokół, tak, jakby lękał się być dosiężonym.

Ale dzielnica pogrążona była w ciemnościach i jeżeli od czasu do czasu słaby promień księżyca prześlizgnął się poprzez chmury i oświecił miejsce, w którym się znajdował, nie mógł widzieć nic w około siebie i w ciszy, zalegającej pustkowiem, słyszał tylko przyspieszone bicie własnego serca.

Przebiegł w ten sposób część dzielnicy i doszedł nareszcie do jednej z lepianek, bardziej opuszczonej jeszcze od innych. Tutaj przystanął i odetchnął głęboko.

Głębokie wzruszenie malowało się na jego twarzy, pokrytej drobnymi kroplami potu.

W milczeniu podsunął się do ściany i spojrzał przez maleńkie okienko do wnętrza lepianki.

Oświetlona była nędzną lampą, rozsnuwającą długie pasma czerwonego dymu. W jednym kącie nory leżał siennik, z którego wychodziła słoma aż na podłogę. Na środku stał stół o trzech nogach, przy którym siedział człowiek z głową zwieszoną na piersi. Czaszka jego była całkiem огоłocą z włosów. Zwiędnięta, żółta skóra pokrywała wystające policzki, a ręka, którą machinalnym ruchem przeciągnął po czole, czarna była i pokurczona jak u szkieletu.

Długo już zapewne człowiek ten siedział zamysłony, ze wzrokiem utkwionym w podłogę, bo zaledwie wyrostek rzucił spojrzenie do izby przez zamaconą szybę, kiedy tamten podniósł się nagle zniechęconym ruchem, ujął lampę i podszedł do barłogu. Kiedy jednak umieścił lampę na kuferku, znajdującym się tuż obok

siennika, poruszył się niespokojnie, nadsluchając.

Ktoś pukał do drzwi.

Czy to może wicher zaszeleścił głośnie, poruszając pokryciem dachu, lub zwierzę jakie wpadło do swej kryjówki?

O tej porze bowiem któżby się ośmielił naruszyć spokój Złotej dzielnicy.

Starzec wzruszył ramionami, jakgdyby odrzucić chciał od siebie przypuszczenie tak niedorzeczne i chciał już usiąść na sienniku, kiedy nowe pukanie zwróciło jego uwagę.

Już teraz nie było żadnej wątpliwości, słuch go nie mylił. Ktoś naprawdę pukał do jego drzwi.

Wziął lampę i poszedł otworzyć.

Na progu stał młody człowiek, trzymając czapkę w ręce.

Starzec spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Ojciec Andrzej? — zapytał wyrostek dziwnie drżącym głosem.

— To tutaj — odpowiedział starzec.

— To wy, nieprawda, to wy nim jesteście?

— Tak, to ja.

Młody chłopiec wszedł, nie spuszczaając wzroku z właściciela lepianki.

Zdawało się, że szukał na tej twarzy, napiętnowanej przedwczesną starością, śladów zapomnianej przeszłości i wobec tego starca, zdradzającego jeszcze przebliski siły i inteligencji, wzruszenie głębokie opanowało go.

Tymczasem ojciec Andrzej zamknął drzwi za wchodzącym gościem. Postawił lampę na stole i wskazał na jedyne krzesło, znajdujące się w pokoju.

— Chcesz ze mną mówić, mój przyjacielu? — rzekł po chwili wahania.

— Tak — odparł młody chłopiec, — już od kilku dni dopytuję się o was, ojcze Andrzeju, lecz dziś dopiero powiedziano mi, że was tu znaleźć mogę.

Starzec potrząsnął smutnie głową.

— Bo nie znają mnie tu wcale pod imieniem ojca Andrzeja — wyrzekł poważnie — i dziwię się nawet, moje dziecko, że mógł ktoś tak dobrze cię poinformować.

— Oh, informację, o jakie się postarałem, były zanadto dokładne, abym się mógł pomylić. Wiedziałem, że nie zawsze byliście w takim położeniu, ojcze Andrzeju, a ci, którzy was znali w waszej oberży z ulicy św. Jakóba, nie zapomnieli o was jeszcze.

Starzec poruszył się żywo.

— Ulica świętego Jakóba! — powtórzył drżącym głosem.

— Czy nie pamiętacie jej już? — zapytał młody chłopiec.

— Owszem.

— Byliście wówczas prawie bogatym człowiekiem, ojcze Andrzeju. Byliście szczęśliwi... Mieliście żonę... dziecko...

— Córkę! — szepnął starzec z głębokim westchnieniem żalu.

— Przypominacie ją sobie?

— Oh, ulica świętego Jakóba — wyrzekł ojciec Andrzej, przesuwając ręką po czole. — Ulica świętego Jakóba!

Potrząsnął głową, jakgdyby daleko odrzucić chciał od siebie przykre jakieś wspomnienia, zmuszające go do powrotu do przeszłości, o której pragnął zapomnieć.

— Bolesna próba — szepnął ponuro — fatalna data!... Od niej to zrodził się początek wszystkich moich nieszczęść... zniknięcie córki... żona moja umierająca z głodu... ja sam walczący ze śmiertelną chorobą... Wszystkie tortury, wszystkie nędzy i upokorzenia... podczas gdy inni... Ale... nie mówmy o tym wszystkim... Ja chcę zapomnieć... chcę zapomnieć koniecznie. Ilekroć myślą spojrzę poza siebie, drżę... lękam się...

Młody chłopiec wyciągnął rękę do starca i objął go serdecznym spojrzeniem.

— A jednak ja przyszedłem tutaj, aby pomóc wami o tej przeszłości, ojcze Andrzeju — wyrzekł zniżonym głosem.

— Ty?

— Tak — ja...

— I w jakim celu?

— Kto to wiedzieć może! Bóg jest dobry i może zechce was jeszcze obdarzyć radością na stare lata.

— Co ty mówisz, dziecko?

Młody chłopiec uśmiechnął się łagodnie.

— Ojcze Andrzeju — rzekł wesoło — odpowiedzcie mi szczerze: Czy pośród nieszczęść waszych, w chwili największego zawzięcia się

losu przeciw wam, nie zdarzyło się wam kiedy marzyć o tem, że przeszłość może być nagle na zawsze wytarta z waszego życia?

— Jakto?

— Może myśl taka była szalona i bezpodstawna, nie zaprzeczam, ale serce wasze wierzyło, że tak się stać jeszcze może — nieprawdaż? Czepialiście się rozpaczliwie tej myśli i nieraz zapewne, przyznajcie, obudziliście się nad ranem, słysząc głos waszej utraconej córki? Czy nie tak, ojcze Andrzeju?...

Starzec na te słowa powstał nagle z siennika i podszedł bliżej do chłopca, przypatrując mu się z gorącą ciekawością.

— Dosyć! — zawołał drżącym, wzruszonym głosem. — Dosyć! Ktoż ty jesteś? Dlaczego przyszedłeś mi mówić podobne rzeczy? Ah! Dziecko nierozważne! Żle czynisz, wyśmiewając się w ten sposób z boleści starego człowieka.

— Ależ ja się wcale nie śmieję, ojcze Andrzeju.

— W takim razie nie wspominaj nigdy o przeszłości — rozumiesz?

— Jednakże ta przeszłość, o której mówię nie chcecie, nie pozostawiła wam żadnych wyrzutów!

— Ah tak, na moją duszę przysięgam, że powiedziałeś prawdę!

— I odtąd woleliście przyjać nędzę najokropniejszą, niż dotknąć depozytu, który wam został powierzony.

Starzec wyprostował się z błyskiem przerażenia w oczach.

— Kto ci to powiedział? — zapytał ze zdumieniem, patrząc na chłopca.

— Mniejsza o to, skoro wiem — brzmiała spokojna odpowiedź.

— Znałeś tego nieszczęśliwego, który znikł na zawsze?

— Znałem go.

— Ah! A więc musiałeś się coś dowiedzieć.

— Jeszcze lepiej, ojcze Andrzeju, bo sam widziałem wszystkich!

Ojciec Andrzej pochwycił żywo rękę chłopca.

— Widziałeś wszystkich! — zawołał gwałtownie. — Kimże więc ty jesteś?

— Powiem wam to później.

— Ale przecież nie przyszedłeś tu do mnie po to tylko, aby mi tych strasznych słów kilka powiedzieć... Musiałeś mieć inny cel, narażając się na niebezpieczeństwa, jakie ci mogą grozić w tej pustej dzielnicy? I ponadto jeszcze wzbudziłeś we mnie przed chwilą nadzieję i byłoby bardzo okrutnie z twojej strony, gdybyś mi ją teraz odebrał.

Młody człowiek spojrzał na mówiącego z rozczuleniem.

— Trzeba mieć ufność we mnie, ojcze Andrzeju — odparł łagodnie. — To, co obiecałem, jestem w każdej chwili gotów dotrzymać.

— Będę więc miał wiadomość o moim dziecku? — zapytał gorączkowo starzec.

— Kiedy zechcecie, ojcze Andrzeju.

— Mój Boże! Ty mnie nie zwodzisz?

— Dlaczegoż miałbym to czynić?

— To byłoby straszne!

— Jutro, ojcze Andrzeju, około południa oczekiwać będę was u siebie.

— Ale gdzież cię ja znajdę?

Młody chłopiec wyciągnął bilet z kieszeni i podał go staremu. Poczem wstał i skierował się do drzwi.

W progu zwrócił się jeszcze, uścisnął gorąco rękę ojca Andrzeja i zalecił mu, aby się stawiał niezawodnie nazajutrz pod adres wskazany i wybiegł na ulicę.

Ojciec Andrzej, pozostawszy sam, skwapliwie spojrzał na bilet, wręczony mu przez młodego chłopca.

Wypisane były na nim tylko dwa słowa: „Baron Luigi”.

Tymczasem księżyc skrył się zupełnie za gęstymi chmurami i wiatr dał coraz przeraźliwiej, wstrząsając nędzną lepianką jak lupiną.

Była już godzina pierwsza po północy. Ojciec Andrzej cały był przejęty rozmową z chłopcem i tem, co go jutro spotkać mogło, nie myślał więc wcale o udaniu się na spoczynek.

Że jednakże wiatr groził co chwila wyrwaniem drzwi i okien, staruszek po chwili namysłu postanowił umocnić je i zabezpieczyć lepiej przed wichurą.

Ale kiedy właśnie chciał się zabrać do tej czynności, drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł mężczyzna.

Ojciec Andrzej nie spodziewał się wcale od-